WOJCIECH DUTKA

CZERŃ I PURPURA

Prawdziwa historia miłości młodego esesmana do żydowskiej więźniarki w piekle Auschwitz

ALBATROS

PROLOG

Marzec 1942

Pociąg zatrzymał się z łoskotem na bocznej rampie stacji o niemieckiej nazwie Auschwitz. Zgrzytnęły rygle. Masywne drzwi pierwszego wagonu otworzyły się z przenikliwym piskiem. Potężny esesman ryknął:

– *Heraus!!!*

W transporcie znajdowało się tysiąc kobiet, ale żadna z nich zupełnie nie miała pojęcia, co to za miejsce. Przybyły tu ze Słowacji. Prezydent tego współpracującego z Trzecią Rzeszą kraju, katolicki ksiądz Jozef Tiso, zapłacił Niemcom po pięćset marek za każdego Żyda wywiezionego przez nich w nieznane.

Po chwili do wagonu podeszło kilkunastu więźniów ubranych w biało-niebieskie pasiaki. Na rozkaz esesmana podstawili do wagonów deski, po których, przy odrobinie szczęścia i refleksu, dało się bezpiecznie zejść na ziemię.

Dwudziestoletnia dziewczyna w skromnym ocieplanym płaszczu wiosennym zeszła po desce na żwir. Za nią ruszyły inne kobiety.

Rozdział 1

ŻYWOTY RÓWNOLEGŁE

Czechosłowacja, 1938

Duży pstrąg potokowy o pięknej zielonkawej skórze upstrzonej czerwonymi plamkami chwycił zawieszoną na haczyku tłustą larwę chruścika. Przełknąwszy smakowity kąsek, chciał umknąć w głębinę. Dziewczyna instynktownie zacięła rybę, podnosząc wędzisko. Energicznymi ruchami zaczęła zwijać żyłkę. Ryba była silna i nie dawała za wygraną. Szarpała na wszystkie strony. Milena nie zamierzała się jednak poddać. Przeciwnie, siła ryby oraz jej determinacja w walce o życie utwierdzały dziewczynę w przekonaniu, że to ona musi wyjść zwycięsko z tej walki. Ucieczka przed trudnościami nie leżała w jej naturze, skorej do romantycznych uniesień, ale i racjonalnej.

Stojący obok ojciec dawał jej rady. To od niego nauczyła się łowić. Była dumna z tego, że ojciec traktował ją jak syna. Gdy pstrąg wylądował wreszcie na kamienistym i mokrym brzegu, dziewczyna odetchnęła. Wspólne wędkowanie z ojcem dawało jej dużo radości. Milena była wysoką, postawną i piękną dziewczyną o ciemnych kasztanowych włosach oraz pociągłej, delikatnej twarzy. Ojciec był z niej dumny. Urody zazdrościły jej wszystkie koleżanki w klasie.

Na Słowacji mieszkało wówczas około dziewięćdziesięciu tysięcy Żydów. Żyli na ogół w miastach i trudnili

się handlem, choć opanowali także wolne zawody. Ojciec Mileny, sześćdziesięcioletni Elias Zinger, był prawnikiem. Prowadził własną praktykę radcowską. Jego zawód dawał prestiż społeczny i stałe dochody. Zinger zaczynał za czasów cesarza Franciszka Józefa. Gdzieś na strychu znajdował się stary zakurzony portret monarchy. Elias miał ochotę kiedyś go wyjąć i zawiesić na ścianie w reprezentacyjnym pokoju, ale słowaccy klienci zapewne nie przyjęliby tego gestu z sympatią. Był po prostu wdzięczny cesarzowi, gdyż za jego panowania wykształcił się na Uniwersytecie Wiedeńskim i otworzył praktykę na Słowacji, wówczas zapadłej prowincji habsburskiego imperium.

Stary Elias, widząc, jak młodsza córka sprawnie radzi sobie z wędkowaniem, żałował w głębi duszy, że nie urodziła się chłopcem. Dla religijnego mężczyzny, niezależnie od wyznania, nie ma chyba nic ważniejszego niż posiadanie syna. Jednak Najwyższy w swej nieodgadnionej mądrości postanowił nagrodzić swego oddanego sługę dwiema córkami.

Jak przystało na dobrego syna żydowskiego radcy prawnego, Milena interesowała się książkami filozoficznymi i religijnymi, co nie przysparzało jej przyjaciółek wśród innych żydowskich dziewczyn. Spotykała się natomiast z chrześcijanami. Elias wprawdzie traktował gojów z należytym dystansem, ale patrzył na życie bardzo pragmatycznie. Dziewięciu na dziesięciu jego klientów było chrześcijanami, nie zabraniał więc córce kontaktów z nimi, ale uważał, że powinny się one ograniczać do minimum.

Czasami Słowaczki zapraszały Milenę na podwieczorki. Nie były tak dobrze sytuowane jak ona. Na jednym z takich wieczorków poznała Dawida. Miał osiemnaście lat i był bratem jej dobrej koleżanki z klasy. Widząc zaciekawienie Mileny, Jižka próbowała wytłumaczyć jej, dlacze-

go Dawid jest taki rycerski wobec kobiet. Powiedziała, że chłopak jest aktywistą Gwardii Hlinkowej.

– Czy to ci ludzie, którzy wybijają szyby w żydowskich sklepach? – zapytała Milena.

– Nie, skądże – odrzekła Jižka – to bardzo pobożni chłopcy. Niosą baldachim nad biskupem podczas procesji Bożego Ciała.

Wyjaśnienie koleżanki nie było wystarczające. Milena nie mogła zrozumieć, dlaczego niesienie baldachimu nad biskupem jest w oczach katolickich rówieśników formą nobilitacji. Mogła sobie jedynie wyobrażać, że biskup to ktoś równie ważny jak rabin Bratysławy. Natomiast Dawid, dobrze zbudowany blondyn, jej się podobał. Ze zwykłej dziewczęcej próżności uznała, że potajemnie będzie wymieniać z nim liściki za pośrednictwem koleżanki.

Te liściki były tylko niewinnym flirtem, powiewem młodości, a jednocześnie wyrazem tęsknoty za poznaniem ludzi, którzy nie należeli do jej świata. Elias Zinger był liberalnym żydowskim ojcem, ale jego liberalizm miał granice. Córka nie mogła sama wybrać mężczyzny, z którym chciałaby się związać. Miała być wierną córką Izraela. Toteż flirt z Dawidem, w swej treści i formie bardzo dziecinny, pozwalał dziewczynie zaspokoić jej egoistyczną, ale zupełnie naturalną w tym wieku potrzebę bycia adorowaną przez chłopców.

Flirt trwał przez lato tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku. Milena wielokrotnie dawała Dawidowi do zrozumienia, jak bardzo jej na nim zależy. Napomykała o jego zręczności, o tym, że ujmuje ją sposób, w jaki odnosi się do dziewcząt, oraz że jest bardzo szarmancki, a przy tym dyskretny i czuły. Pisała do niego w taki sposób, mimo iż miała świadomość, że wśród religijnych Żydów kobieta zachęcająca mężczyznę do aktywniejszego flirtu niechybnie wywołałaby skandal. Jednak Milena miała skłonność do dosyć prowokacyjnego zachowania. Pod-

świadomie wyczuwała, iż ojciec żałuje, że nie urodziła się chłopakiem, i ta niezwykła śmiałość, z jaką podchodziła do wszystkich swoich spraw, czasami napawała rodziców obawami co do tego, jak córka pokieruje swoim życiem.

Pomimo niepokojów międzynarodowych lato tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku Milena spędziła, pisząc liściki do Dawida. Bawiło ją to. Sama się sobie dziwiła, że przykładała tak wielką wagę do tych nieznośnie pustych słów i z taką atencją traktuje samo pisanie. Poprawiała każdy liścik do Dawida po kilka razy, zmieniając ton albo uwypuklając te cechy chłopaka, które się jej podobały, i te, które budziły w niej sprzeczne odczucia. Kiedy dostawała odpowiedź, w której Dawid dawał wyraz swojemu zaskoczeniu tak „szybko postępującą znajomością" i przystępował do niezdarnego tłumaczenia się z jakiejś swojej wady, Milena, ciągle mając nad nim przewagę, zaczynała stosować osobliwą kobiecą „dialektykę". Pisała, że zachwyca ją przede wszystkim jego wrodzona skromność, ale on nie rozumie jej serca. Ona starała się przecież mu wyjaśnić, na czym polegają jego błędy (na przykład nie uczył się francuskiego). To spowodowało, że Dawid zerwał korespondencję. Wytrzymał delikatne, ale i wyczuwalnie ironiczne przytyki, ale nie mógł znieść lekkiej drwiny ze strony kobiety. Milena nie chciała urazić go celowo.

Na początku września tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku w Czechosłowacji w życie codzienne wdarł się już wrzask pewnego pokojowego malarza spod Salzburga, domagającego się poszanowania praw niemieckiej mniejszości w Sudetach. Milena zupełnie się tym nie przejmowała. Była bardzo niezadowolona, że straciła swoją letnią zabawkę – Dawida. Mogła przecież przeciągnąć ten niewinny żarcik odrobinę dłużej. Nie cierpiała przy tym wewnętrznie. Raczej cierpiała jej próżność, owa lekka, nieznośnie irytująca, a przy tym zupełnie naturalna

strona kobiecej duszy.

Austria, 1938

Drasenhofen jest zapomnianą przez Boga mieścinką w Austrii, tuż obok czeskiej granicy. Nad maleńkim ryneczkiem wznosi się kościół, który jest jedyną budowlą widoczną w promieniu kilometra. Austriacka prowincja jakby na przekór upływowi czasu zachowała dawny styl życia. Dramat codzienności toczył się według jasnego i z dawna zaplanowanego scenariusza. Dzwon kościoła parafialnego codziennie wzywał wiernych na mszę, a mieszkańcy przychodzili do sklepu Weimertów po świeże wędliny.

Babka Franza Weimerta miała osiemdziesiąt lat i zawsze starała się być pierwsza w kościele. Siadała nieodmiennie w pierwszej ławce od ołtarza i przed mszą głośno odmawiała różaniec. Jej głęboka, szczera religijność miała wpływ na wnuczka. Szesnastoletni Franz pełnił bowiem funkcję przełożonego ministrantów. Jako ulubieniec staruszki musiał się podporządkowywać marzeniom babci, snującej dalekosiężne plany, a starsza pani decydowała w domu Weimertów o wielu rzeczach, zdobywszy uprzednio ogromny wpływ na syna i synową. Widziała oczyma duszy swego wnuczka jako księdza, oddanego na służbę Bogu i Kościołowi. Jednak marzenia marzeniami, a obok nich, jakby zupełnie na przekór, w Austrii zachodziły nieodwracalne zmiany.

Anschluss przyszedł spodziewanie. Przeciętni Austriacy, tacy jak rodzina Weimertów, przyjęli go z obojętnością. Być częścią wielkich Niemiec, a nie tej śmiesznej, dziesięciomilionowej republiki, znaczyło „coś". Wielu Austriaków żyło bowiem wspomnieniem dawnej chwały domu habsburskiego. Upadek republiki nic dla tych ludzi nie

znaczył. Ojciec Franza Weimerta, Josef, niezbyt się tym faktem przejął. Rozcinał w dalszym ciągu wieprze dostarczane przez okolicznych gospodarzy, robił z nich salcesony, wędził szynki i w tym codziennym wirze wędzonych świńskich ogonów, łbów i kiełbas nie miał czasu, żeby przejmować się czymś tak abstrakcyjnym, jak Republika Austrii. Josef Weimert nie miał głowy do polityki. Polityka bowiem to sztuka trudnych kompromisów. A on nie lubił kompromisów, gdyż wymagały od niego wysiłku intelektualnego, z którym źle się czuł, i większość ważnych dla domu decyzji spychał na kobiety, zwłaszcza na swoją matkę, a babkę Franza. Oprócz kompromisów Josef Weimert nie lubił Prusaków, czyli wszystkich Niemców mówiących innym akcentem od tego, jakiego używało się w Górnej Austrii lub – w ostateczności – w okolicach Wiednia. Gdy więc faszyści po raz pierwszy próbowali przejąć władzę w republice za rządów kanclerza Engelberta Dollfussa, ojciec skwitował to stwierdzeniem:

– Co ci okropni Prusacy sobie myślą?

Anschluss z marca tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku stanowił dla ojca nic nieznaczący epizod, w czym poważny udział miała jego matka, rodowita Bawarka znad rzeki Inn. Powiedziała mu, że ich rodzina od trzystu lat budowała swoją pozycję uczciwych i rzetelnych rzeźników. Nigdy żaden z przodków Josefa Weimerta nie sprzedawał ohydnej pasztetówki jako wątrobianki, a *Krakauer*, najbardziej tradycyjna z austriackich kiełbas, nigdy nie miał więcej słoniny, niż wynikało to z przepisu. I skoro od trzystu lat nikt nie narzekał na wędliny Weimertów, nie było żadnego powodu, by ludzie mieli na nie narzekać w Austrii pod panowaniem Hitlera. To był pragmatyzm codzienności. Dlatego ojciec przeszedł nad Anschlussem do porządku i skwitował włączenie Austrii do Niemiec lapidarnym stwierdzeniem:

– Nie pozwólmy, aby ta zmiana zaważyła na naszym

życiu.

Rodzina Weimertów była najosobliwszym mizoginicznym patriarchatem, jaki można sobie wyobrazić. Słowo ojca było święte, ale tylko wówczas, kiedy zaakceptowała je babka. Anna Teresa Weimert decydowała, jaki kształt ma mieć strudel na Boże Narodzenie, jak długo należy prażyć jabłka na ów strudel, jaki stół należy kupić, żeby nie zniszczyć dębowej podłogi w salonie, i wreszcie jakie lektury powinna czytać synowa w czasie ciąży. Matka Franza, Honorata z domu Aufhauser, nie była żadną błyskotliwą intelektualistką, tylko pobożną kobietą o wielkim sercu, która prała, sprzątała, oporządzała dom i rodziła dzieci. Bynajmniej nie została do tego zmuszona. To był jej własny wybór, wynikający z potrzeby serca.

W takiej rodzinie przyszedł na świat Franz Weimert. Miał dwóch starszych braci: Lorenza, lekarza, człowieka uczynnego i oczytanego, oraz jego zupełne przeciwieństwo, Friedricha, robotnika pracującego w Wiedniu i rzadko zaglądającego do Drasenhofen, osobnika z natury samotnego, introwertycznego, rodzinnego dziwaka.

Franz był trzecim, najmłodszym, synem, ukochanym dzieckiem, grzecznym, uczynnym. Nigdy nie szukał zwady z rówieśnikami, pomagał ojcu, pilnie się uczył i chodził codziennie do kościoła.

Święto Paschy tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku było na swój sposób niezwykłe. Odbywało się w atmosferze niewytłumaczalnego dla wielu ludzi rozdwojenia. Wiosną tego roku ostatecznie umarła Czechosłowacja. Powstało wolne państwo słowackie, z zasady antyczeskie, ultrakatolickie i zajadle antysemickie, co Słowacy starali się okazać Żydom na każdym kroku. Ojciec Mileny przed rozpadem Czechosłowacji był po prostu wziętym prawnikiem. Po upadku Czechosłowacji był dalej dobrym

prawnikiem, ale już żydowskim. Przymiotnik „żydowski", wyznaczający niewidzialną granicę narodowości, oznaczał desperację. Mecenas Elias Zinger był „tamtym" prawnikiem, czyli żydowskim krwiopijcą wysysającym pieniądze z biednych Słowaków, którzy żyją przecież w swoim własnym kraju zgodnie z nauczaniem Kościoła.

Milena nie przepadała za Paschą, mimo że święto to stanowiło centrum żydowskiego świata. Nie lubiła sprzątania, a żydowska tradycja nakazywała przygotowanie zarówno duszy, jak i mieszkania. Każda filiżanka musiała lśnić. Milena nie lubiła jajek jadanych w czasie sederu, uroczystej rodzinnej kolacji, oraz gorzkich ziół, chrzanu, cykorii i sałaty. Jednak w tym roku dziewczyna wyczuwała dziwny niepokój, jaki udzielał się ukochanemu ojcu. Nie potrafiła wytłumaczyć źródła tego lęku. Do tej pory ojciec (w mniejszym stopniu matka) trzymał ją pod kloszem, żyła więc w błogiej nieświadomości nadciągającej burzy. I chociaż Słowacja nie była wolna od antysemityzmu, Milena nie dostrzegała żadnych zagrożeń. Żyła w swoim świecie. Nic poza nią samą nie wzbudzało jej zainteresowania.

Flirt z Dawidem uzmysławiał jej kruchość relacji między ludźmi pochodzącymi z dwóch światów. Łudziła się naiwnie, że może przeniknąć do świata katolików, a oni mogą poznać jej świat. Zawiodła się. Hermetyczność tych dwóch środowisk okazała się zbyt wielka. Do opamiętania wezwał ją ojciec, który słysząc, że córka wymieniała liściki ze Słowakiem, i do tego katolikiem, rzekł:

– Pamiętaj, że Najwyższy przeznaczył ci los żydowskiej żony.

Ta stanowczość ojca, znamionująca jego tendencję do uszczęśliwiania córki według prawa i zwyczaju ich dumnego ludu, owej wiosny miała także drugie dno, którego Milena nie chciała i nie potrafiła dostrzec. Po wieczerzy paschalnej, po wypiciu trzech kielichów wytrawnego ko-

szernego wina (w każdym pobożnym żydowskim domu czwarty kielich był niezmiennie przeznaczony dla proroka Eliasza), ojciec oświadczył rodzinie:

– Musimy wspólnie zadecydować, czy zostajemy tutaj, na Słowacji, czy wyjeżdżamy do Palestyny.

Za tymi słowami kryła się wielka troska o byt rodziny. Wszyscy oczekiwali, że to ojciec podejmie decyzję. Stary Elias Zinger wyznał więc, że rozmawiał z rabinem i przyjacielem rodziny, dostojnym Majzelsem. Razem doszli do wniosku, że trzeba zachować spokój. Słowacja była ich krajem, niezależnie od tego, co myśleli o tym Słowacy. Skoro budowali ten kraj za Franciszka Józefa, jako część habsburskiej monarchii, a potem budowali go w Czechosłowacji Masaryka, to czemuż nie mieliby dalej być słowackimi Żydami za rządów księdza Tiso? Postanowili, że zostaną.

Milena wcale nie chciała jechać do Palestyny. Przerażała ją odległość tego pustynnego kraju, z którym nie czuła żadnej więzi. Poza tym bała się ciężkich warunków życia, gdyż ponoć wielu osadników żydowskich wiodło żywot prawie nomadyczny, a na pewno ascetyczny. Gdy usłyszała, że zostaną na Słowacji, bardzo się ucieszyła. Miała przynajmniej pewność, że spokojnie rozpocznie studia w bratysławskim konserwatorium.

Rozdział 2

RODZINNE SZCZĘŚCIE

Najlepszym przyjacielem Franza był Bastian Schilling. Jego rodzice byli właścicielami największego majątku w Drasenhofen, powszechnie szanowanymi obywatelami i dobrymi katolikami. Chłopcy przyjaźnili się od piaskownicy. Razem reperowali drewniane samochodziki, razem kradli najdojrzalsze czereśnie i razem podglądali dziewczyny. Ich przyjaźń przetrwała wszystkie próby dzieciństwa i wczesnej, bardzo niewinnej młodości.

Bastian miał brata, młodszego o dziesięć lat pucołowatego chłopca imieniem Manfred, który darzył starszego brata uwielbieniem. W zasadzie był najnormalniejszym radosnym i pogodnym dzieckiem, z tą jedynie różnicą, że w wieku siedmiu lat mówił tylko kilka słów: mama, tata, Bastian, jeść, kupa, spać. Cierpiał na mongolizm i stanowił dla Schillingów wstydliwy kłopot. Nawet gdyby rodzina chciała ukryć Manfreda przed wścibskimi oczami mieszkańców Drasenhofen, nic by to nie dało. W małych miasteczkach wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. Manfred był ułomny, ale to wcale nie oznaczało, że jego niepełnosprawność kładła się cieniem na stosunkach Schillingów z innymi rodzinami. Potwierdziła to przyjaźń między Bastianem i Franzem. Jednak wraz z „nowymi, narodowosocjalistycznymi czasami" zauważalne stało

się pewne delikatnie napięcie. Manfred właściwie sam nie opuszczał już domu. Mógł wychodzić tylko w towarzystwie matki, a nawet wtedy obydwoje przemykali tak szybko, jak gdyby matce się spieszyło.

Franz nawet polubił Manfreda, który był bardzo ufny. Jako starszy ministrant, opiekujący się młodszymi adeptami służby liturgicznej, starał się traktować chłopca z największą delikatnością i zrozumieniem. Namawiał przyjaciela, by miał podobne podejście do brata. Zauważył bowiem, że mimo bezgranicznego oddania i braterskiej miłości Bastian odnosił się do Manfreda z rezerwą, wręcz z lekceważeniem.

Ta uczuciowa nierówność pogłębiła się, gdy niespodziewanie w czerwcu tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku Bastian wstąpił do Hitlerjugend. Rodzice Bastiana uznali to za naturalny proces. W przeciwieństwie do rodziny Franza, która trzymała się z daleka od polityki, rodzice Bastiana szybko zorientowali się, że mogą dużo zyskać na przystąpieniu do NSDAP. Włączyli się tym samym w ogromny proces społeczny obejmujący całe Niemcy. Partia Hitlera odnotowała gwałtowny przyrost liczby członków właśnie w dwóch ostatnich latach, na fali sukcesów wodza. Rodzice Bastiana, zamożni austriaccy rolnicy, przyłączyli się do ruchu nazistowskiego z czystego koniunkturalizmu i dla świętego spokoju. Ich syn Bastian, w którym pokładali wszystkie nadzieje, po prostu nie mógł nie przynależeć do najlepszej części niemieckiej młodzieży, do Hitlerjugend. Gdy chłopak wstąpił do organizacji, Schillingowie nie przestali chodzić do kościoła. Wprawdzie pan Schilling pojawiał się tam rzadziej, ale dewocja pani Schilling pogłębiała się wprost proporcjonalnie do obojętności męża. Pani Schilling szukała w wierze ucieczki, odkąd jej mąż powziął trudną, ale zgodną z linią partii decyzję, by powierzyć wychowanie upośledzonego syna narodowosocjalistycznemu państwu.

Pewnej dusznej niedzieli latem tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku obydwaj przyjaciele, Franz i Bastian, spotkali się na lemoniadzie. Franz wyczuł zakłopotanie towarzysza. Coś się musiało stać. Zawsze wiedział, gdy Bastian dostał lanie od ojca za wagary, podkradanie czereśni z cudzych ogrodów albo za kolejną dwóję z matematyki, ich ulubionego przedmiotu.

– Co się stało?

Bastian nie spieszył się z odpowiedzią.

– Nie wiem, czy powinienem ci o tym mówić.

– Jeśli nie chcesz, to nie mów.

– Muszę to komuś powiedzieć – odparł Bastian pospiesznie, jakby chciał zrzucić z siebie jakiś ciężar. – Ojciec wysłał Manfreda do ośrodka opiekuńczo-wychowawczego w Saksonii.

– Co takiego? – Franz nie krył zdziwienia.

– Awantura trwała prawie miesiąc, ale w końcu ojciec wymógł to na matce. Wiesz, moi starzy bardzo się zmienili, odkąd wstąpili do partii. Ojciec chce prowadzić życie towarzyskie. Poznali dużo ciekawych ludzi.

– Narodowych socjalistów?

– Tak, to w większości partyjni znajomi. Nie mogliśmy udzielać się towarzysko przez Manfreda. Rodzice się go wstydzili. Teraz mają kłopot z głowy. Wysłali go do jakiegoś ośrodka, gdzie mają go leczyć. Ten zakład został stworzony przez Führera specjalnie z myślą o takich dzieciach jak Manfred. Zapewniają tam opiekę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Może to lepiej. W domu nikt nie miał dla niego czasu.

– A ty co o tym myślisz? – zapytał zaniepokojony Franz.

– Będę mógł go widywać razem z rodzicami. To tylko kilka godzin jazdy samochodem – odrzekł Bastian, unikając jednak wzroku przyjaciela.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie, Bastianie.

Chcę wiedzieć, co ty o tym myślisz. Chcę znać twoje zdanie.

– To przecież ojciec zadecydował. Ja nie mam nic do gadania.

– Nalegam – powiedział stanowczo Franz.

Bastian popatrzył koledze w oczy.

– Myślę, że rodzice źle zrobili. Manfred jest taki bezbronny. On będzie tam bardzo cierpiał. Ale co ja mogłem zrobić? Gdybym się sprzeciwił, ojciec stłukłby mnie na kwaśne jabłko. Muszę być przecież posłuszny rodzicom. Ojciec mówił, że na pewno znajdą tam jakieś lekarstwo dla Manfreda.

Franz przyjął wyjaśnienie przyjaciela. Pocieszał go, jak mógł. Ale nie potrafił sobie wyobrazić, jakie lekarstwo może wyleczyć umysłowe upośledzenie.

Latem tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, kilka miesięcy po tym, jak wojska Hitlera zajęły Pragę, Milena zdała do konserwatorium. Dziewczyna kochała muzykę i chciała rozwijać talent. Oznajmiła rodzicom, że nie widzi się w roli kury domowej, zajmującej się obejściem i doglądającej, czy dzieci mają mokro, czy są głodne. Najzwyczajniej w świecie nie miała ochoty zostać pobożną żydowską matką i żoną. Była ambitną i samodzielnie myślącą dziewczyną i upierała się stanowczo przy studiach muzycznych. Matka początkowo w ogóle nie chciała się zgodzić na dalsze kształcenie córki, ale widząc jej upór, zgodziła się na medycynę. Milena nie miała jednak najmniejszego zamiaru być lekarzem. Interesowała ją wyłącznie muzyka. W końcu rodzice ulegli. Milena poszła do konserwatorium.

Wkrótce wydano zarządzenie, na mocy którego studenci Żydzi mieli siedzieć w oddzielnych ławkach. Na wszystkich wydziałach bratysławskiego uniwersytetu getto ław-

kowe zostało wprowadzone przy milczącej bezradności żydowskich studentów, pięściami Gwardii Hlinkowej, z poparciem władz uniwersyteckich. W konserwatorium Żydzi stanowili około dwudziestu procent wszystkich studentów i pracowników. Musieli się podporządkować nowemu prawu. Państwo Słowackie było teraz na wskroś katolickie, a Żydów traktowano jako nieprzyjaciół wiary katolickiej lub cel akcji chrystianizacyjnej, co zresztą zgadzało się z ówczesną polityką Watykanu.

Temperament Mileny nie pozwalał się jej podporządkować nowemu prawu. Na wykładach zasiadała zatem w pierwszej ławce, obok dwóch słowackich koleżanek i węgierskiego studenta. Na sali zapadała wówczas cisza. Milena rzuciła więc wyzwanie wszystkim katolikom i choć ryzykowała upokorzenie, postanowiła, że będzie trwała przy swoim wyborze. Na szczęście tego dnia wykłady z renesansowego madrygału miał profesor Žižek, marksizujący esteta, kontestator Beneša i ostatnia osoba w konwersatorium, którą można było uznać za zwolennika rządu księdza Tiso. Profesor wszedł na salę. Zerknął na studentów i z wyrazem nonszalancji na twarzy ruszył w stronę katedry. Jego zgarbiona postać zdawała się niknąć wśród obecnych. Gdy wszedł na podwyższenie, ściągnął płaszcz i położył go na stojącym obok krześle. Z teczki wyjął plik pokreślonych papierów i położył go na blacie katedry. Założył okulary w grubych oprawkach z drewna wiśniowego. Spojrzał na Milenę, siedzącą w pierwszej ławce, obok chrześcijańskich studentów.

– Nie wybaczyłbym sobie, gdyby pani usiadła w ostatniej ławce – powiedział do Mileny.

Słowa profesora rozładowały atmosferę. Wykład odbył się tak, jak gdyby nie istniał rząd księdza Tiso. Po wykładzie ktoś jednak doniósł władzom uczelni, że profesor Žižek nie podporządkował się zarządzeniom władz i że pozwolił Żydom na zasiadanie w jednej ławce ze studen-

tami chrześcijańskimi. Profesora natychmiast wezwano na rozmowę do rektora, argumentowano, że swoim nieodpowiedzialnym zachowaniem nie powinien narażać uczelni na ryzyko poważnych konsekwencji. Podsunięto mu także do podpisania zobowiązanie, że w przyszłości nie dopuści się takich czynów. Žižek odmówił podpisania papieru. Następnego dnia wysłano go na bezpłatny przymusowy urlop.

Milena, mimo iż wiedziała, co stało się z profesorem, nie przestała kontestować polityki katolickiego rządu Słowacji wobec swoich żydowskich obywateli. Na każdych zajęciach zasiadała obok słowackich koleżanek i kolegów. Nie uszło to uwadze ani władz uczelni, ani aktywistów z młodzieży hlinkowej, nacjonalistycznej i ultrakatolickiej organizacji młodzieżowej, którą ksiądz Tiso zorganizował na wzór Hitlerjugend.

Pewnego dnia wracała do domu. Podbiegł do niej kolega z roku, Jehuda Szopsowic, żydowski student w klasie skrzypiec. Zawsze siadał z innymi żydowskimi studentami w przepisanej im oślej ławce. Był wyższy od Mileny niemal o głowę. Nosił modną szarą marynarkę, miał ciemną, opalizującą karnację i starannie wymodelowane brylantyną włosy. Goguś, pomyślała Milena, nie lubię takich chłopców.

– Jesteś bardzo odważna – powiedział, dopędzając ją na bratysławskim trotuarze.

Posłała mu pełne nieufności spojrzenie.

– A ty jesteś tchórzem – wycedziła z pogardą. – Gdybyście wszyscy usiedli ze mną w pierwszym rzędzie, nikt nie odważyłby się przestrzegać tego przepisu.

Przyspieszyła kroku, ale Szopsowic jej nie odstępował.

– Odprowadzę cię do domu – zaproponował.

– W żadnym wypadku – odparła dziewczyna. – W mojej rodzinie, gdy chłopak odprowadza dziewczynę do domu, wszyscy mają prawo myśleć, że się jej oświadczy.

– A więc dajesz mi kosza na ulicy?

– Naturalnie – oparła całkiem serio Milena. – Żydowska dziewczyna musi dbać o reputację. Tylko to nam zostało.

Kilka dni później do mieszkania Zingerów w centrum Bratysławy zapukali gwardziści Hlinki w asyście jednego policjanta.

Tego dnia w gospodarstwach wszystkich bratysławskich Żydów miały odbyć się rewizje. Poszukiwano materiałów wrogich państwu słowackiemu, szkalujących hitlerowskie Niemcy, sojuszników rządu księdza Tiso, a także kosztowności i – co najważniejsze – materiałów „masońskich". Katolicki rząd Słowacji wykazywał obsesyjną wręcz chęć demaskowania masonerii. Podobnie jak we frankistowskiej Hiszpanii, uznano, że masoneria jest jednym z największych zagrożeń dla zdrowego społeczeństwa. Żydzi zostali powiązani z masonerią. I rodzina Mileny miała paść ofiarą tej obsesji.

Był ranek dnia szabasowego, kiedy wszyscy w mieszkaniu Zingerów usłyszeli wyraźne i coraz natrętniejsze pukanie. Elias Zinger wstał z łóżka, naciągnął szlafrok i podszedł do drzwi. Sądził, że to dozorca przyniósł pozostawioną przez gońca prasę. Otworzył i w tej samej chwili drzwi pchnięte jakąś ogromną siłą odrzuciły Eliasa Zingera na ścianę. Gwardziści wpadli do wnętrza.

– Przeszukać tę żydowską norę! – zagrzmiał najstarszy rangą bojówkarz.

Słysząc krzyki, Milena wstała, aby sprawdzić, co się dzieje. Bojówkarze przewracali ich mieszkanie do góry nogami. Wyrzucili wszystkie ubrania z szaf, potłukli zastawę znajdującą się w kredensie – sprawdzali, czy w tym kuchennym meblu Żydzi nie schowali kosztowności. Najwyraźniej mieli w pamięci opowieści o żydowskim złocie.

Przerażona matka Mileny pomogła wstać poturbowanemu mężowi. Milena była zbyt przerażona, by uczynić cokolwiek.

– Teraz możesz sobie w domu urządzać demonstracje.

Jasna aluzja do zachowania Mileny w wyższej szkole muzycznej nie pozostawiła cienia wątpliwości, jaki był powód ataku. Najście nie trwało więcej jak piętnaście minut. Hlinkowcy zakomunikowali policjantowi, że nie znaleziono żadnych nielegalnych materiałów. Funkcjonariusz przeprosił za „uzasadnione naruszenie miru domowego". Wyszli, trzaskając drzwiami.

Milena płakała w objęciach matki. Nikt wcześniej nie zakłócił spokoju jej domu i intymności w tak brutalny sposób. Mimo bólu i upokorzenia Elias Zinger postanowił działać. Nie zamierzał puszczać tego gwardzistom płazem. Nikt przecież nie pozbawił ich praw publicznych, a w normalnym kraju nie nachodzi się ludzi w ich własnych domach. Napisał ostry protest do naczelnika policji, a do prokuratora skierował zawiadomienie o dokonaniu przestępstwa. Nikt jednak nie przyszedł, aby dokonać oględzin mieszkania. Prokurator znał Zingera i zwlekał z odpowiedzią.

Policja przysłała list po dwóch tygodniach. Stwierdzono w nim, że przeszukania dokonano zgodnie z obowiązującym prawem, cytując przy tym odpowiedni dekret prezydenta Słowacji księdza Tiso, i że z powodu szkód nie należy się Zingerom żadne odszkodowanie. Bratysławski komendant policji wyraził natomiast ubolewanie z powodu formy, w jakiej przeszukanie się odbyło. Po przeczytaniu tego listu Zingerowie zdali sobie sprawę, że stali się obywatelami drugiej kategorii. Pożałowali decyzji o pozostaniu na Słowacji, ale ojciec wciąż chciał udowadniać, że jest przydatnym członkiem społeczeństwa, nawet wtedy, gdy wprost pokazywano im drzwi.

❖